



Tadeusz Krysiński

Tarcza

Czerwone buty

Na jesieni 1943 lub 1944 roku Niemcy rozpoczęli „karanie” Polaków za „przetrzymywanie bandytów z lasu” i przechowywanie żydowskich dzieci w swych domach. Co druga chałupa na wsi miała spłonąć, a wszystkie dzieci w wieku od 2 do 4 lat miały być zabite. Według informacji „wiejskich szpiegów”, w Hornówku przechowywano kilkuletnie żydowskie dzieci.

Tadziu siedział w kuchni, gdy usłyszał jakieś głosy i jakby śpiew. Wyszedł przed dom. Zobaczył stojące wianuszkami kobiety. Podbiegł do nich, ale koło było szczelne. Pomyślał, że bawią się w „kółko graniaste” i chciał wejść do środka. Spojrzał na ich twarze. To nie był śmiech. Zobaczył łzy. A to, co wziął początkowo za śpiew, było krzykiem rozpacz, zawoźdzeniem i płaczem matek nad gwałtowną śmiercią swych dzieci.

„Uciekaj, bo cię zabiją” – ktoś krzyknął do niego. – „Uciekaj, bo cię zabije gestapo!”. Stał zdezorientowany. Nie wiedział, co się dzieje wokół. „Schowaj się, Tadziu, bo cię zabiją” – ostrzegła go babcia. Z oddali zobaczył go żołnierz z karabinem i kiwnął na niego ręką. Tadziu uciekł do kuchni i schował się pod piecem, między wyschniętym drewnem. Babcia przykryła go starą szmatą i wyszła. Nastąpiła cisza. Słyszał bicie swojego serca.

Zbliżyły się czyjeś kroki. „Gdzie on jest?”. „Ano gdzieś pobiegł. Może tam” – babcia wskazała w kierunku lasu. Ktoś stanął na progu i krzyknął: „Tadziu, gdzie jesteś?”. Otworzył usta i zaraz je zamknął. Myślał, że to może zabawa i chciał powiedzieć: „Tutaj”, ale był przestraszony, a serce biło tak gwałtownie, jakby chciało wyskoczyć z jego ciała.

Ktoś stanął koło kuchni, z bagnetem na karabinie. Dźgnął w to miejsce, gdzie był ukryty. Bagnet uderzył w drewno, a później gdzieś obok jego nóżki. Syknął z bólu. Żołnierz nasłuchiwał. „To za małe pomieszczenie, żeby się ukryć, może tam, na strych się schował” – rzekła babcia. Odciągała żołnierza od kryjówki, jak przepiórka odciąga lisa od gniazda z młodymi.

Żołnierz stał i nasłuchiwał, czy nie dochodzą jakieś szmery. Bagnetem ściągnął szmatę, nachylił się, ale w schowku było ciemno. Tadziu otworzył oczy i zobaczył tylko wysokie, skórzane buty, a na nich czerwone, jeszcze świeże, ślady krwi. „Tu jest tylko drewno na opał. Szukajcie na strychu, może tam się schował”.

Usłyszał oddalające się kroki, a później, nad głową, szuranie butów po słomie i rytmiczne uderzanie bagnetem o podłogę. „Głębiej dźgaj!” krzyczał do swego pomocnika Niemiec. Bagnet wchodził głęboko

w słonec, a jego koniec uderzał o podłogę. „Tu go nie ma”. „Może zadżgany?”. „To by krzyczał”. Serduszek Tadzia powoli uspokajało się, biło już mocno i wolno. W mieszkaniu zrobiło się cicho. Odeszli. I to był cud, że on żył.

Wiele lat później, gdy Polacy i Niemcy będą się przyjaźnić w zjednoczonej Europie, w jego pamięci pozostaną te czerwone żołnierskie buty. Ślady wojny.

Czy lubisz Niemców? Tak! Dlaczego? Bo dają cukierki.

Któregoś dnia do Hornówka wkroczyli niemieccy żołnierze. Zgodnie z „rozkazem” sołtysa wszyscy mieszkańcy mieli opuścić swe domy na czas pobytu wojska. Aby mieli gdzie nocować, kazano wybudować bunkry ziemne. Gdy spadł pierwszy deszcz, w bunkrach było pełno wody i przemokły nawet pierzyny i kołdry. Nie można było w nich dłużej mieszkać. Żołnierze siedzieli wokoło ściany. Może ze 40 chłopów w jednej małej izdebce. Weszła babcia z małym kilkuletnim brzdącem. Prosiła żołnierzy, żeby pozwolili mu pozostać na noc. „My dorośli to jakoś sobie poradzimy, ale on nie wytrzyma, bo pada deszcz i jest zimno”. Żołnierze zaczęli rozmawiać coś między sobą, a później zwrócili się do oficera ze skórzaną wojskową torbą, który zezwolił, aby mały Tadzio pozostał w izbie. Przygarnął go żołnierz mówiący po polsku. Bawił się z Tadzkiem jak z małym psiakiem. „Czy lubisz mięso? Tak! Masz tu gryź”. Dał mu rękę i palce. Tadzio gryzł. „Mocniej gryź!” Taka była ich zabawa. Wszyscy żołnierze śmiali się z tego. Tadzio udawał pieska. „No jak piesek szczeka? Hau! Hau! A jak macha ogonem? No pokaż.” Tadzio pokazywał ręką, jak macha piesek. „A gdzie ty masz ogonek? Z przodu? Z przodu! Cha, cha, cha”. Wszyscy żołnierze się śmieli i polubili go. Siedział pomiędzy Stanisławem i Pawłem. Opowiadali mu bajki, a później o sobie. „Widzisz tamtego? Tak! Nie chodź do niego – mówili szeptem. To niedobry człowiek. Jak cię będzie wołał, to powiedz, że nie chcesz”. „Chodź do mnie” – woła tamten. Tadzio kiwa przecząco głową. „No chodź do mnie! Nie! Dam ci cukierka. Nie chodź do niego, bo on zabija dzieci” – mówi szeptem do Tadzia żołnierz siedzący obok. Tadzio nie chce. „Dam ci cukierka!”. Pokazuje mu białą kostkę cukru. „No to idź do niego” – mówi żołnierz. Tadzio podchodzi do „tamtego”. Każe mu bawić się w pieska. „Lubisz mięso? Tak! To gryź! Daje Tadziewi do gryzienia palce”. Nagle ściska mu szyję i rzuca na środek podłogi. Nastaje cisza. „Dlaczego chcesz go zabić? Czego maltretujesz dziecko? Co ono ci zrobiło” – krzyczy Paweł do niemieckiego żołnierza. Chce wziąć Tadzia z podłogi. „Nie dotykaj go! Niech zdycha! To dziecko! Czego się znęcasz nad nim? Uważaj, bo z tobą będzie to samo. To zabij mnie! Zabij mnie, a nie dziecko!”. Chce znowu podnieść Tadzia, ale tamten zabrania i coś mówi do swego adiutanta. „Wyjdź na dwór” – mówi do Pawia. „Po co?”, „Wyjdź na dwór!”. Paweł wychodzi. Pada strzał. Adiutant wraca i mówi do żołnierzy: „Za niesubordynację i niewykonanie polecenia”. Tadzio doszedł już do siebie i słyszy, jak rozmawiają, ale dalej nie rusza się.

Znowu jakiś żołnierz chce go podnieść. Dowódca nie pozwala. Niech przyjdzie kobieta po niego! Ale nikt z rodziny nie przychodzi, bo już jest noc. Mija kilka godzin, gdy biorą go z powrotem żołnierze obok siebie. Coś śpiewają i nuca. „Tamten” znowu kiwa ręką na Tadzia, żeby przyszedł. Tadzio przecząco kiwa głową. Pokazuje mu cukierka. „No idź” – mówi Stanisław i popycha. „Masz cukierka. Dziecko jest wystraszone. Richtig! Lubisz Niemców?”. Tadzio przecząco kiwa głową. „Lubisz Niemców?” – pyta się tamten. Czuje w ustach słodycz cukierka i nagle ten niespodziewany chwyt za gardło i zaciskanie się niemieckiej ręki coraz mocniej na Tadzia gardle. Wydobył z siebie jakiś piskliwy krzyk, zatrzepotał jak kurczaczek rękoma i nóżkami. Był takim czteroletnim chucherkiem podniesionym w jednej ręce do góry i rzuconym o podłogę. Leżał na podłodze, szary i nieprzytomny, przez długi czas. Przyszła mama, wzięła go z podłogi i zaniósła do ziemianki. Położyła na mokrej pierzynie i przykryła go mokrym kocem. Dochodził do siebie kilkanaście godzin. „Pamiętaj, Tadzio, masz mówić, że lubisz Niemców, bo cię zabijają. Pamiętaj! Masz mówić, że lubisz Niemców, bo dają cukierki”. Tadzio nie rozumiał, dlaczego ma mówić tak, ale polecenie mamy było dla niego nakazem jak od Boga. Wieczorem znowu mama poprosiła, aby pozostał w mieszkaniu, bo nie ma gdzie go przenocować. Znowu „tamten” zawołał go do siebie. „Lubisz Niemców? Tak. Dlaczego? Bo dają cukierki. My go szybko wytrenujemy. Zrobimy jeszcze z niego Niemca”. Zaczęli uczyć go niemieckiego. Znowu był razem ze Stanisławem, który mówił mu szeptem: „Pomścimy śmierć Pawła! Pomścimy!” Któregoś dnia asystent „tamtego” wyszedł na dwór za potrzebą. Ale nie wrócił żywy. Został zaszyty. „Pomściliśmy Pawła. Pomścimy i ciebie” – mówił szeptem. „Cicho, sza”. „Tamten” był nerwowy. Węszył i pytał się, kto zabił adiutanta. Był ostrożny i nie wychodził nocą z izby. Bał się. Tadzio jako kilkuletnie dziecko, gdy usłyszy niemiecką mowę, będzie czuł ból w żołądku. Jeszcze gdy będzie miał 14 lat i przypadkowo nastawi radio, a usłyszy w nim niemiecki „szwargot”, będzie czuł skurcze żołądka i ból fizyczny. Gdy będzie miał 19 lat, pójdzie do wojska do Zgorzelca. Tam będzie słyszał codziennie niemiecką mowę i polubi ją. Złagodnie i zatrze się w jego pamięci obraz okrutnych wydarzeń.

Wiejski szpieg

Mieszkaliśmy w małej wiosce Hornówek koło Warszawy. Był koniec lata 1943 roku, gdy sprowadziła się do naszego domu para młodych Żydów. Tam gdzie byli poprzednio, nie mogli zostać dłużej, bo wytropił ich wiejski szpieg, co to chodząc od domu do domu, nadśluchiwał co kto mówi, sprawdzał, czy są obcy ludzie. A obcy to mógłby być albo Żyd, albo bandyta. Dla Niemców każdy z lasu był bandytą. Jeśli takiego bandytę ktoś przetrzymywał, to całą rodzinę zabijano, a dom palono. Tak samo było niebezpieczeństwem trzymanie w domu Żydów.

Aby być niewidocznym dla sąsiadów wykopali sobie w piwnicy dół, który babka przykryła deskami i słomą. Gdy ktoś przychodził do nas, to chowali się tam. Wieczorem wychodzili. Kiedyś zapalili lampę naftową, bo wieczorem chcieli sobie coś ugotować i wyprać bieliznę. Wówczas babcia kazała im natychmiast zgasić. Jak to po ciemku można coś robić? Nie możecie nic robić przy lampie, bo ktoś zajrzy przez okno i rozpozna, że obcy ludzie są w domu. Mówili też tylko szeptem.

Ale któregoś dnia na drodze koło naszego domu zatrzymał się obcy człowiek wyglądający jak dziad. O coś spytał małego chłopczyka, który mu przytaknął. Podeszła babcia i rzekła: „Co będziecie pytali się dzieci. Nikogo u nas nie ma”. Ale dziad za chwilę wrócił i zaglądał do piwnicy przez okno, a do środka nie chcieliśmy go już wpuścić.

Już na drugi dzień przyszedł sołtys i z dużej płóciennej torby wyciągnął jakiś papier, który babcia podpisała. Poszła do kuchni, skąd przyniosła małe zawiniątko. Był tam wędzony boczek i pieniądze. „Dobrze, powiem wam, gdyby Niemcy szykowali oblawę i uprzedzę, ale tylko raz”.

Byli cieniem naszego domu. Wychodzili z ukrycia, gdy mały Tadzio już spał i mówili szeptem. Czasami próbowali rozmawiać z nim, żeby przyniósł im wody lub mleka. Już nie mogli wychodzić nawet z ukrycia. Dom był obserwowany przez szpiega, który nocą zaglądał przez okna do domów. Prawo zabraniało całkowitego zasłaniania okien po to, aby stróż pilnujący wsi mogli zaglądać do okien i sprawdzać.

Któregoś dnia znowu pojawił się ten „dziad” w łachmanach. Rozmawiał z babcią gwałtownie gestykulując rękoma. Babcia znowu poszła do spiżarni, przyniosła kawałek słoniny i kielbasy. Chciała mu to dać, ale nie wziął. Powiedział, że jutro będą w naszym domu Niemcy. Niech sami się zgłoszą, bo wszystkich w domu rozstrzelają za ukrywanie Żydów.

Nie było wyboru, musieli odejść dzisiaj przed zachodem słońca. Ona ubrała się w białą suknię – najładniejszą, jaką miała. On w czarny garnitur. Wyszli z piwnicy. Jej twarz była blada jak śnieg i piękna jak twarz Madonny. Wyglądali jakby szli do ślubu, a nie na śmierć.

„Ja cię nie opuszczę, nie zostawię cię samą!” – mówił chłopak. „Ty idź do lasu, ja tam nie wytrzymam. Ja pójdę sama, albo się doczołgam do dworu. Nie zostawię cię! Najwyżej umrzemy razem! Nie! Rozdzielimy się! Ty do lasu, ja do dworu – ktoś z nas przeżyje i uratuje się! Ty nie dojdiesz do dworu, jesteś zbyt słaba. Jej sukienka była zakrwawiona. A co się tak ubrałaś, jak na ślub? Niemcy to zobaczą i spytają się, skąd masz takie ubranie? Kto cię przebrał”. Nie chciała przebierać się w łachmany, ale chłopak przekonał ją, aby ubrała się inaczej i poplamiała sobie ubranie.

Zachodziło słońce, gdy wyszli z naszego domu i udali się w kierunku pobliskiego folwarku w Izabelinie. On ją trzymał mocno pod pachę, aby się nie przewróciła i powoli szli w świetle zachodzącego słońca przez ściernisko, grzędy warzyw i ziemniaków. Czasami się przewracała, ale wstawała i szli dalej.

Było już ciemno. Babcia zapaliła lampę naftową. Nadśluchiwalismy. Była taka cisza, że mały chłopczyk słyszał swoje bicie serca. Nagle usłyszał dwa strzały. „Może ich rozstrzelali?” – powiedziała babcia.

Kilka miesięcy później przyszło do wsi kilku z lasu – to partyzanci. Wypytywali się dokładnie o ludzi, których ukrywaliśmy. Był wśród nich On. A gdzie Ona? Podobno Niemcy wyleczyli ją i wzięli do służby na folwarku, do kuchni. Chciał ją zabrać stamtąd. W umówionym miejscu – za drewnianą belką naszego domu – zostawił jej list. Otrzymał odpowiedź.

Podobno brawurowym atakiem na pałac grupa partyzantów odbiła ją Niemcom i uciekła z nimi do lasu, gdzie przetrzymali wojnę i żyją. Ale kto wie, jak naprawdę było dalej. Tylko Bóg wie.

W lesie

W 1944 roku siedł mały chłopczyk ze swą matką gdzieś w kieleckich lasach. Uciekali z płonącej Warszawy w bezpieczne miejsce. Byli sami. Tadzio miał pięć lat – był za słaby, żeby dojść do celu, 20 kilometrów pieszo. Matka brała go na barana, ale było jej zbyt ciężko. Ten mały chłopczyk przeszkadzał jej, opóźniał marsz do celu. Mama przyspieszyła, zaczęła biec. Mały jak mógł, biegł za nią, ale był zmęczony, więc zwolnił. Stracił matkę z oczu. Przystanął i krzyknął dziecięcym głosem: „Mama! Mama!” Było cicho. Czuł, że mama jest gdzieś w pobliżu. Rozglądał się po skraju lasu, ale mamy nigdzie nie widział. Obejrzał się znowu. Zobaczył mamę stojącą za drzewem, z rękoma do tyłu. Było

wtedy tak cicho i tylko w górze wiatr poruszał liście drzew. Ręka mamy podniosła się do góry. Tadzio spojrzął na mamę błagalnym wzrokiem oskarżenia i niewinności. Ich wzrok się spotkał. Przekazywał mamie błagalne wyznanie. Stali tak chwilę, nic nie mówiąc do siebie. Wiedział, że zwyciężył. Coś upadło obok niego. Odwrócił się w tym kierunku i zobaczył duży, owalny, polny kamień. Mama coś mówiła do siebie. Szli dalej przez las. „Zabiję go. Powiem, że rozszarpały go miny”.

Stanęli na otwartej przestrzeni. W pobliżu przebiegała linia kolejowa. Napisy ostrzegawcze w języku polskim i niemieckim: „Teren zaminowany, grozi śmiercią”. W pobliżu torów kolejowych Niemcy zaminovali, aby uniemożliwić sabotaż. „Zobacz Tadzio, tam. Gdzie? O tam” – pokazała mu mama czerwony kwiat. „Urwij go i przynieś. Dobrze, mamó”.

Wszedł na teren śmierci. Chociaż był mały, wiedział, że każdy krok to ryzyko śmierci. „Coś” mu powiedziało o tym, tam, w górze. „Coś” miało nad nim opiekę, przyglądało się z góry i kierowało każdym jego krokiem. To „coś” wprowadziło go w dziwny stan skupienia, transu i kierowało jego ruchami.

Szedł powoli, ostrożnie. Uszedł już jakieś 30 metrów, gdy usłyszał mamy głos: „Nie tam. Tam”. Rozglądał się dokoła i czuł się jak rozmagnesowana igła kompasu. Ten jej głos wyprowadził go z transu i naprowadził na śmierć. Wokoło były kolorowe kwiaty, niebieskie chabry i trawa. Zagubił cel, po który go wysiała. Nagle zobaczył znowu ten duży, czerwony mak. Znowu zaczął iść w tym kierunku. Był bardzo skupiony i „widział” w ziemi ciemne, okrągłe plamy. To były miny. Starał się je omijać. Zahaczył nogą o jakieś druty. W pobliżu ujrzał rozerwaną sarnę, wiszące strzępy mięsa na drzewie, a dalej ciemne ciało dzikiej świni, rozszarpane zające. Fragmenty zakurzonej odzieży i wyschnięte, poszarpane ludzkie szczątki z głową oderwaną od korpusu.

Nagle usłyszał jakiś grzmot – ale przecież dzień był pogodny, słoneczny. Jemu wydawało się, że jakby piorun zagrzmiał. To nadjechała furmanka. Jakiś głos kobiecy: „Co to, wysyłacie dziecko na śmierć?” i odpowiedź mamy. Tadzio wiedział, że tę furmankę wysłało to „coś” z góry, aby mu pomóc zostać wśród żywych.

I zerwał ten czerwony kwiat i wrócił tą samą drogą, co przyszedł. Mama stała za dużym konarem rozwidlonej sosny ukrywając się w oczekiwaniu na koniec wydarzenia. I dał mamie ten czerwony kwiat, a mama zapłakała: „Synku, a ja chciałam cię zabić”.

Kilkadziesiąt lat później napisał do mamy list o tym wydarzeniu. Odpisała mu zdziwiona: „Synu, i to ty pamiętasz?”. Gdy w 1990 roku był w Polsce, spytał się: „Dlaczego?”. „Była wojna i było trudno żyć, a ty byłeś taki mały”. Mamó, wtedy prowadził mnie Bóg, bo „coś” z góry sterowało moim każdym krokiem. I ja to czułem, to „coś” patrzy i widzi. Byłem za mały, żeby zdać sobie sprawę, gdzie wszedłem i co to jest śmierć. Więc kto mnie szczęśliwie prowadził? Kto i dlaczego?

Do mamy nie miałem o to żadnej pretensji. Przecież mnie urodziła. Była Bogiem mojego życia.

Tarcza

Była to „końcówka” II wojny światowej. Niemcy złagodnieli i stali się „dobrzy”. W Izabelinie pozwolili chodzić do niemieckiego przedszkola niektórym polskim dzieciom. „Babciu dlaczego Niemcy są dobrzy?” – pytał natrętnie Tadzio. „A będzie koniec wojny. Dlaczego są dobrzy?” A dlatego – i czyjaś ręka dała mu kawałek żołnierskiego twardego suchara. „Masz mówić, że Niemcy tutaj są dobrzy, bo dają dzieciom suchary. Jak będą się ciebie pytali, to powiedz, że ja ci dawałem suchary”. Tadzio nie znał ofiarodawcy suchara. Może to był ten dziad, co kiedyś chodził do babci z brezentową torbą, a ona dawała mu jedzenie i pieniądze, aby nie zdradził Niemcom kryjówki w naszym domu, gdzie schowali się Żydzi? A może jeden z „wiejskich szpiegów” pracujących dla okupanta? Pamięta do dzisiaj smak tego żołnierskiego suchara. Niemcy od trzech tygodni przebywali w Hornówku. Mieli kilka czołgów, które przykryli gałęziami i brezentowymi plandekami. Tadzio był „trenowany” i szkolony na „dobrego Niemca”. Śmierci uniknął przypadkowo – dzięki opiece żołnierzy, którzy rozmawiali po polsku. Oni to uchronili go przed sadyzmem wojny, ale sami zginęli, bo chcieli się przeciwstawić okrucieństwu. Jedno słowo za dużo, wypowiedziane w obronie Tadzia, było ceną życia. Jeden zginął tylko dlatego, że powiedział dowódcy: „Dlaczego ty się nad nim znęcasz?”. Inny, pełen buntu przeciwko temu co spotkało dziecko, spytał: „Dlaczego nie pozwalasz go ratować?”. Nie dotykaj go – powiedział tamten – bo będzie z tobą to samo. „Jak można być tak okrutnym dla dziecka?”. „Niech przyjdą kobiety”. Tadzio już kilka godzin leżał na podłodze i dochodził do siebie po tym, jak tamten dowódca, który się bawił z nim w pieska, ścisnął go za gardło i rzucił o podłogę, podobno za to, że ugryzł go w palec. Ktoś polał mu głowę wodą. Otworzył oczy, ale zaraz je zamknął, jak żołnierz krzyczał. „To zabij mnie! Zabij mnie, a nie jego!”. Później tamten kazał mu wyjść na dwór. Padł strzał. Żołnierz nie żył.

Któregoś dnia pośpiesznie opuszczali wioskę. Tadzio już „szwargotał” po niemiecku, więc uznali, że może będzie im „pomocny” na wojnie. Jeden z żołnierzy chciał włożyć go do lufy czołgu, ale do środka weszła tylko jedna cienka nóżka Tadzia. Drugą nóżkę przywiązali do lufy. Tadzio zwiślał głową na dół. „Długo tak nie wytrzyma i zamarznie. Nie będzie można strzelać. Może rozsądzić nam lufę czołgu” –

debatowali czołgista z pomocnikiem. „Damy mu białą flagę, niech macha nią, aby tamci widzieli”. Wyciągnęli jego nogę z lufy i posadzili na czołgu. Związali mu nogi paskiem, aby nie spadł i dali białą szmatę do ręki. Jak opuścimy lufę czołgu, to masz machać tą białą płachtą. „Dobrze” – powiedział grzecznie. „Widzisz tam daleko tę drogę? Widzę! Jak tam będziemy, to machaj tą białą szmatą, aby widzieli”.

Jechali powoli do wyznaczonego miejsca. Tadius machał białą szmatką. Usłyszał jakiś huk i strzał. Gdzieś w pobliżu upadł pocisk, bo obsypało go ziemią. Później drugi. Czołg obrócił się wokół i stanął. Czołgiści wysiedli z niego i zaczęli uciekać. Tadius pozostał, ale dalej machał białą szmatką. Minęło trochę czasu, gdy ujrzał grupę żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału. Szli ostrożnie do czołgu. Podeszli bliżej. Mieli wycelowane lufy w jego stronę. „Eto malczyk! Zrobili z dziecka żywą tarczę. Jak twoje imię? Tadius. Tadius? A ile masz lat? Cztery”. Zdjęli go z lufy czołgu. Okryli długim żołnierskim płaszczem. „Zmarłeś, biedaku” – powiedział ktoś do niego po polsku i wziął na ręce. Zaniósł go do wioski. Wiele lat później zrozumiał, że miał być zabezpieczeniem na wypadek ataku. Niemcy sądzili, że Rosjanie nie będą do nich strzelać, jeśli zobaczą dziecko na lufie czołgu. Ale na wojnie ludzie nie bawią się, strzelają, żeby zabijać.